

WIELKA ISLANDZKA

JANUSZ PŁOŃSKI

& MACIEJ RYBIŃSKI



AUTORZY SERIALU **ALTERNATYWY 4**

Tytuł: Wielka Islandzka

Autorzy: Janusz Płoński, Maciej Rybiński

Wydanie I

Wydawca:

Neverland Wojciech Sikorzak

ul. Zgrupowania „AK” Żmija 23/22, 01-875 Warszawa

tel. +48 510 185 550, e-mail: wojciech.sikorzak@gmail.com

Skład, łamanie, redakcja techniczna:

Neverland Wojciech Sikorzak

Korekta:

Katarzyna Pikosz

Projekt graficzny okładki:

Sylwia Markieta

ISBN: 978-83-967229-0-4

Warszawa, 2022 r.

© Copyright by Janusz Płoński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione. Wykonywanie kopii dowolną z dostępnych metod kopiowania powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

All rights reserved. Unauthorised dissemination of this publication in part or in full is prohibited in any form. Reproduction by any method represents an infringement of the copyright in this publication.

*Dedykujemy ten drobiazg Oli
Jednej, drugiej i trzeciej*

Świadczymy usługi dla ludzkości

Slogan reklamowy kooperatywy rybackiej w Islandii

Historia, którą opisujemy, zdarzyła się naprawdę. Opowiedział nam ją w czasie długiej nocy polarnej pewien stary islandzki rybak, posiadający wiele znajomości w kołach intelektualnych swego kraju, ponieważ był rekordzistą w połowie dorszy.

Noc zdawała się nie mieć końca, a my siedzieliśmy zasluchani w tę niesamowitą opowieść, grzejąc się ciepłem gejzeru i popijając nalewkę na pewnym gatunku trawy, rosnącym wyłącznie na zachodnich zboczach islandzkich wulkanów. Zorza polarna łagodnie igrała na pooranej morskimi wichrami twarzy starego rybaka i było nam bardzo dobrze. Głównie z tego powodu, że wszystko, co nam opowiadał, działo się w Islandii, a nie – na przykład w Warszawie. Gdyby działo się w Warszawie, czulibyśmy się znacznie gorzej; choć inna sprawa, że wówczas nie mógłby nam tego opowiadać ani stary rybak, ani nikt inny, zwłaszcza w Islandii.

Kiedy postanowiliśmy spisać tę zajmującą historię, natrafiliśmy na wielkie trudności – wynikające stąd, że rozmaite rzeczy po islandzku nazywają się zupełnie inaczej niż po polsku. Na przykład stolica Islandii nazywa się Reykjavik, a są tam i inne miasta, jak choćby Akureyri czy Hafnarfjörður, a nawet Kirkjubæjarklaustur. Brzmi to dla Polaka o wiele bardziej niezrozumiale niż Szczeczeszyn, Dzierżania czy Jazgarzew-szczyzna. Nadto wszyscy Islandczycy, bez wyjątku, nazywają się jednakowo: Halgrimsson albo Ericsson; wyglądają prawie jednakowo i sami z trudem się odróżniają – a co dopiero mówić o cudzoziemcach. Zresztą islandzkie nazwiska trudno nazwać nazwiskami, bo powstają na zasadzie przyklejania końcówki „son” do imienia ojca – gdy chodzi o mężczyznę. Z kobietami jest podobnie, ale inaczej. U nas natomiast, jak wiadomo, oryginalnych nazwisk – a również fizjonomii – dostatek.

Z tych ważnych powodów postanowiliśmy – zachowując szkielet fabularny opowieści starego rybaka i wszystkie istotne dla jej toku szczegóły – przenieść ją w całości na grunt tak dobrze nam znanych polskich realiów, pośród których czujemy się znacznie pewniej.

Pragniemy tylko, aby – w każdym momencie lektury, w każdej chwili refleksji nad książką – Czytelnik pamiętał, że rzecz dzieje się w Islandii, Malinowski to Halgrimsson, a Kowalski Ericsson. Albo odwrotnie, co w sumie nie ma większego znaczenia.

Chcemy się także zastrzec, że książka ta, odwrotnie niż tragedie Williama Szekspira, nie ma żadnego wymiaru uniwersalnego. Dotyczy tylko i wyłącznie specyficznych warunków islandzkich i do nich się ogranicza.

Będziemy sobie poczytywać za sukces, jeśli dzięki niewinnemu zabiegowi formalnemu przybliżymy Islandię spragnionemu wiedzy polskiemu Czytelnikowi.

Autorzy
Warszawa, 1977

Trop 1

Powieści zaczynają się rozmaicie, ale prawie zawsze w sposób bardzo wyszukany, wyjąwszy początki proste i dobitne, jak „Ogary poszły w las” albo „Przyszedł nowy rok 1655”.

Bywają też początki dokładnie informujące czytelnika o bohaterach, ich cechach fizycznych i zdolnościach umysłowych, jak „A to nam zabili Ferdynanda – rzekła posługaczka do pana Szwejka, który opuściwszy przed laty służbę w wojsku, gdy ostatecznie przez lekarską komisję wojskową uznany został za idiotę, utrzymywał się z handlu psami, pokracznymi, nierasowymi kundlami, których rodowody fałszował”.

Najczęściej jednak zniechęca i bez przygotowania wprowadza się czytelnika w jakieś zupełnie nieznane mu sprawy całkiem obcych osób, które kłócą się ze sobą, kochają się, zawierają transakcje, piją wódkę albo pożyczają pieniędzy. Kto i po co to robi, wyjaśnia się później albo wcale, zależnie od tego, czy autor wiedział, po co pisze, czy tylko wiedział, że potrzebuje pieniędzy. Nawiasem mówiąc, autorzy piszący z potrzeby finansowej są bardziej godni szacunku niż ci piszący z potrzeby serca, ponieważ, ofiarowując im odpowiednią kwotę, można ich odwieść od pisania.

My zaczniemy od przedstawienia naszego bohatera – z imienia, nazwiska i tak dalej. Jest to zabieg uczciwy i bardzo celowy. Przy dużej liczbie postaci występujących w książce łatwo przegapić właściwego bohatera albo, co gorsza, przypisać tę funkcję zbiorowości. A tego chcielibyśmy uniknąć.

Bohater nasz nie jest „człowiekiem niegdyś młodym”, jak to ładnie określał Dickens. Jest człowiekiem właśnie młodym, w pełnym tego słowa znaczeniu. Ma dwadzieścia cztery lata i niewielkie doświadczenie życiowe, wyjąwszy, jak sam nieskromnie sądził, doświadczenia z kobietami. Ukończył przed kilkoma miesiącami filologię polską na wyższej uczelni i podjął

pierwszą pracę. Wybrał studia filologiczne, ponieważ w szkole bardzo dobrze pisał wypracowania z polskiego i znał na pamięć dużo rozmaitych wierszy. Inne wiersze – w ukryciu – pisał sam, i tych nie uczył się na pamięć, chociaż niektóre pamiętał. Przypuszczał, że po ukończeniu studiów automatycznie zostanie pisarzem, albo przynajmniej publicystą. Zaoferowano mu pracę w szkole, w księgarni technicznej oraz w Domu Kultury na etacie animatora konkursów recytatorskich. Nie przyjął żadnej, gdyż czuł, że został stworzony do celów wyższych.

Ostatecznie trafił do Instytutu Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej, gdzie potrzebowano specjalisty od literatury, ponieważ w ostatnich czasach namnożyło się przypadków fałszowania rękopisów sławnych ludzi. Nasz bohater miał za zadanie badać ich stylistykę, język i tak dalej, i na tej podstawie orzekać o autentyczności.

Praca ta pasjonowała go, ponieważ wydawało mu się, że trzymając w ręku kawałek papieru, na którym jakiś facet przed dwustu laty nagryzmolił kilka słów w sprawie długu karcianego, obcuje z Absolutem.

Był więc idealistą, miał niebieskie oczy, blond włosy, metr osiemdziesiąt wzrostu i przechodził w dzieciństwie odrę. Przechodził także koklusz, ale krótko, bo ojciec wziął go na lotnisko, gdzie znajomy pilot sportowy przewiózł go samolotem. Potem nigdy już na koklusz nie chorował.

Uprawiał sporty – skakał w dół, ale za blisko, by się z tego utrzymać oraz grał w siatkówkę, ale za słabo, by z tego powodu wyjeżdżać za granicę. Kiedy zaczął czytać książki, przestał uprawiać sport, ponieważ książek do przeczytania było dużo i na skakanie żałował czasu.

Nosił buty numer czterdzieści dwa. Kiedy przeczytał „Fenomenologię” Husserla, na całe dwa tygodnie zwątpił w sens istnienia. Do chwili, kiedy poznał pewną kasjerkę kolejową, która uzupełniała maturę na kursie wieczorowym. Odzyskał wtedy wiarę w celowość życia, ale kasjerka maturę oblała i teraz ona zwątpiła. Bez czytania Husserla. Było to bardzo dziwne.

Dość często się onanizował, oglądając świerszczyki, które mu podarowała koleżanka ze studiów, i bardzo się tego wstydził. Nie lubił chodzić do kawiarni i dyskotek. Irytowały go. Wydawało mu się, że w tańcu wygląda śmiesznie. Uważał, że należy poświęcić życie nie płamom, lecz naprawianiu świata. Zawsze wpisywał się do książki zażaleń, kiedy źle go obsłużono w sklepie, ale nigdy nie dostał odpowiedzi. To go trochę zniechęcało. Wieczorem, przed zaśnięciem, marzył, że posiada instrumentalną władzę naprawiania, coś na kształt czarodziejskiej różdżki, i że z niej szeroko korzysta – dla dobra ogółu oczywiście.

„Dobro ogólu” – to było ulubione powiedzenie jego ojca, który był dyrektorem fabryki, dopóki go nie wywieziono na taczkach. Ale nasz bohater o tym nie wiedział, gdyż był jeszcze całkiem małym chłopcem. Potem ojciec przeszedł na emeryturę i już nie mówił o „dobrze ogólu”, tylko czytał gazety i prorokował, że to wszystko źle się skończy.

Ojciec nie był dobrym prorokiem, gdyż – źle czy dobrze – wcale się nie kończyło.

W czasie studiów nasz bohater pisywał do rodziców raz na miesiąc i zawsze potem dostawał przekaz na pięćset złotych. Razem ze stypendium mogło to już stanowić podstawę jakiejś egzystencji. Mieszkał u ciotki, która wcale nie była jego ciotką, tylko koleżanką matki z pensji u sióstr przed wojną. Ciotka była z lekka zwariowana, trzymała w domu dwa koty, grywała namiętnie z dwoma sąsiadami w brydża, wypalając przy tym mnóstwo papierosów. I zawsze opowiadała, że „ta twoja biedna matka mogła w życiu do czegoś dojść, gdyby nie poznała tego łajdaka, twego ojca”. Wybaczła jej, gdyż była stara i piekła w każdą sobotę wspaniałą szarlotkę, a także pozwalała mu przyprowadzać przyjaciółki, które często zostawały na noc.

Poza tym ciotka była podróżniczką, ale o tym opowiemy przy innej okazji.

Taki był nasz bohater. Kiedy już wiemy o nim wszystko, wypadaloby obdarzyć go nazwiskiem. Z tym jest zawsze największy kłopot. Można, co prawda, wybrać nazwisko jakiegoś przyjaciela – jeśli postać jest sympatyczna. Albo wroga – gdy opisuje się odrażającego, brutalnego przestępcę. Dobrym sposobem jest także otwarcie na chybił trafił książki telefonicznej i przypisanie bohaterowi pierwszego nazwiska, na które padnie wzrok.

Zrezygnowaliśmy z obu tak popularnych sposobów pisarskich i nazwaliśmy naszego bohatera Janem Kowalskim. Jest to najpopularniejsze imię i nazwisko w Polsce, a jeśli chcieliśmy, by nasz bohater czymś się wyróżniał, to na pewno nie nazwiskiem. Nosząc to tak popularne nazwisko, staje się on symbolem wszystkich młodych ludzi, wchodzących w dorosłe życie.

Siedział tedy w pewien letni dzień nasz bohater Jan Kowalski w pracowni rękopisów i starodruków Instytutu Kryminalistyki i wiódł zacięty spór z dwoma kolegami.

– Słuchaj, to nonsens – wywodził starszy z nich. – Czy wyobrażasz sobie faceta, który tworzy Etiudę Rewolucyjną, a potem siada do pisania listu i bełkoce? – Chwycił ze stołu kartkę i zaczął czytać głośno: – „Wolę nic nie tworzyć, byle się z Tobą położyć, ja zawsze najwierniejszy Fryc, co

mocno tęskni do Twych cudnych cych!!! Wiem, że kochasz mój dzyndz i jaja, a po tej dysertacji i szanować musisz, bo nie tylko nam rozkosz sprawiają, ale i mojej twórczości są źródłem. Rozkosz największa, stworzenie człowieka, nauka, sztuka, wszystko w jednym, a więc niech dzyndz wszechmocny żyje!!!!

Kolega skończył czytać, złapał się za głowę i udawał, że wyrywa sobie z niej włosy.

– Przecież to bzdury – mówił dalej, kiedy się uspokoił.

Drugi przytakiwał głową.

– Szopen nie mógł czegoś takiego napisać. Po prostu nie mógł – ciągnął pierwszy.

– To nie jest żaden argument – powiedział spokojnie Kowalski. – Ja nie twierdzę, że on to napisał, ale stanowczo nie zgadzam się z twierdzeniem, że nie mógł.

Kowalski wstał i zaczął przechadzać się przed kolegami, jak robili to niektórzy wykładowcy na polonistyce. Stonował przy tym i uspokoił swój głos.

– Analiza słownictwa i składni nie wyklucza autorstwa Szopena. Nie możemy temu zaprzeczyć tylko z tego powodu, że trudno nam sobie wyobrazić, iż mistrz był nieco prostacki w okazywaniu uczuć. Za to w muzyce sublimacja osiągała szczyty i w niej wznosił się ponad siebie.

– Weź to na zdrowy rozsądek – przekonywał drugi z kolegów. – Czy pisałbyś takie rzeczy do kobiety, w dodatku pochodzącej z arystokratycznego rodu? Wymyśliłbyś te jakieś tam dzyndze, dziurki-desdurki i co tam jeszcze? Do tej kwestii należy po prostu przyłożyć potoczne doświadczenie życiowe.

Kowalski podniósł rękę władczo i brutalnie przerwał swemu interlokutorowi.

– Mickiewicz miał łupież i był wyjątkowym brudasem – rzekł twardo. – Co wcale mu nie przeszkadzało być wielkim wieszczem. Musimy naszą opinię sformułować zgodnie z podstawami naukowymi, a nie doświadczeniem potocznym. Dlatego kategorycznie nie zgadzam się na odrzucenie autorstwa Szopena.

– Więc co? Mamy je potwierdzić? Chyba oszalałeś. Nie podpiszę czegoś takiego.

– A ja nie podpiszę zaprzeczenia – obstawał twardo przy swoim Kowalski.

Szopen i Delfina Potocka mogli być dumni z obrońcy ich prawa do swobodnego wyrażania uczuć, w sposób, jaki im najbardziej odpowiadał.

Spór zapowiadał się pasjonująco, ale w najciekawszym momencie przerwał go dzwonek telefonu.

- Do ciebie - powiedział kwaśno kolega, podając słuchawkę Kowalskiemu. Ten słuchał chwilę.

- Tak jest - rzucił krótko, stając przy tym odruchowo na baczność. - Stary mnie wzywa - powiedział. - Mam nadzieję, że nie wyda polecenia służbowego, jak sformułować ekspertyzę.

Szefowi Instytutu Kryminalistyki ani to było w głowie. Był nieco zażenowany. Poprosił Kowalskiego siadać. Chrząknął.

- Wzywają was do Komendy Głównej - powiedział. - Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale sprawa jest podobno delikatnej natury. Być może już do nas nie wrócicie. W każdym razie, to nie był mój pomysł, chciałem was zatrzymać. Dziękuję za współpracę. - Wyciągnął rękę. - To wszystko. Aha, zameldujcie się u pułkownika Zaleskiego. Życzę powodzenia.

Dzięki takiemu oto zbiegowi okoliczności listy Szopena do Delfiny Potockiej uznane zostały za apokryf.

Jan Kowalski wyszedł z gabinetu szefa nieco podenerwowany. Nie podobało mu się to wszystko. Dlaczego miał tu nie wrócić? I czego mogli chcieć od niego w Komendzie Głównej, po pół roku nienagannej pracy? Nie wziął nawet ani razu zwolnienia lekarskiego. To była zagadka, na którą nie znajdował odpowiedzi.

Jeszcze bardziej się zaniepokoił, kiedy na Puławskiej okazało się, że pułkownik Zaleski jest szefem wydziału kryminalnego. Przebiegł w myślach przeszłość - nie było w niej nic, co usprawiedliwiałoby takie zaproszenie. Ojciec? Odrzucił zaraz tę myśl. Ojciec był organicznie niezdolny do czynu sprzecznego już nie tylko z prawem, ale nawet najbardziej niedorzecznymi przepisami. Więc co?

Pułkownik przyjął go natychmiast. Był to jowialny, starszy pan, typowy pyknik, a jego serdeczne powitanie nieco rozbawiło i uspokoiło Kowalskiego.

- Witam, witam, kolego. - Pułkownik uśmiechał się tak promiennie, jakby miał ochotę ucałować go zaraz w oba policzki. - Wy niedawno w milicji, co? No i jak wam się ta praca podoba? Nie nudno tam u was w papierach grzebać? Wy by lepiej, taki młody, przestępców ścigali.

- No nie, czemu? - bąkał Kowalski całkiem zdetonowany. - To pasjonujące.

- No, dobrze. - Pułkownik otworzył leżącą przed nim teczkę. - Pisać wy, znaczy się, umiecie?

- Pisać? - Kowalski nie bardzo rozumiał. - Pisać? No tak, umiem.

- Właśnie - rozjaśnił się jeszcze bardziej zadowolony pułkownik. - Takiego szukałem. Młodego, zaraz po studiach. Polonistykę skończyliście, to pisać, znaczy się, umiecie. Bo sprawa jest, jakby to powiedzieć, delikatna.

Nie musicie się godzić, ale wierzę... – Machnął ręką. – Powiem wam wprost. Musicie zostać dziennikarzem.

– Dziennikarzem? – zdziwił się Kowalski. – Dlaczego?

– Dlaczego, dlaczego? – przedrzeźniał go pułkownik. – Tak trzeba. Będziecie pracować w „Wiadomościach Porannych”. Wszystko już załatwione. Zgłosicie się do naczelnego redaktora i powiecie, że przysyła was docent Pyszny. Macie tu na kartce nazwisko, żebyście czegoś nie pokręcili. Resztę szczegółów poda wam kapitan Bystron. Znaczy się, powodzenia życzę.

Całkiem oszołomiony Kowalski dotarł z trudem do drzwi, z trudem się przez nie przedostał i już miał wyjść na ulicę, kiedy przypomniał sobie o kapitanie Bystroniu. Nie bez problemów, pytając po drodze kilku osób, odnalazł kapitana w bufecie.

Bystron był niewiele od niego starszy, może o pięć, może sześć lat. Przystojny. Uśmiechnięty. Dużo palił.

– Kowalski? – upewnił się, gdy mu się Janek przedstawił. – Jak masz na imię? Janek. Świetnie, ja jestem Bolek. Chodź na górę, wszystko ci wyjaśnię, bo czasu mamy niewiele. Od pierwszego musisz rozpocząć pracę.

Na górze Bystron grzebał chwilę w kieszeni i zasumował się.

– Gdzie są te cholerne klucze? – mruczał pod nosem. – Znów musiałem je zostawić w bufecie. Poczekaj chwilę.

Kowalski czekał cierpliwie. Wyglądał przez okno na zalaną słońcem ulicę i zastanawiał się, w co też takiego się wpakował. Chociaż myśl, że zostanie dziennikarzem, że chwycił szansę, górowała nad niepokojem.

Bystron wrócił po chwili z kluczami.

– Są – oznajmił radośnie. – Ciągle je tam zostawiam.

Podszedł do szafy pancерnej, zajmującej jedną ścianę pokoju, sprawnie odwiązał małe supełki na sznurku przeciągniętym przez metalowe uszy i zakończonym plastelinową plombą, tkwiącą w przyśrubowanym do szafy kapslu od piwa, potem otworzył szafę kluczem.

– Najtajniejsze z tajnych tu trzymam.

Chwilę grzebał w jej wnętrzu, wyjął opasłą tekę z grubej tektury, przetarł rękawem zakurzoną okładkę.

– Jest. Siadaj. Opowiem ci w skrócie całą historię. Potem, jak będziesz chciał, możesz to przestudiować, ale to chyba zbędne. Otóż w redakcji „Wiadomości Porannych” przed trzema tygodniami, podczas jakiegoś zebrania, zmarł jeden z dziennikarzy. Niejaki... – Spojrzał w papiery. – Grzegorz Hofman, lat trzydzieści pięć, kawaler. Sekcja zwłok wykazała zatrucie cyjankiem potasu. Wszyscy podczas tego zebrania pili kawę, niestety filiżanki zostały umyte przed przybyciem naszej ekipy. Śledztwo

nic nie dało. Ani to, które miało na celu ustalenie ewentualnych motywów morderstwa, bo w relacjach pracowników redakcji stosunki wewnętrzne to istna sielanka; ani to, które miało na celu ustalenie, kto z pracowników mógł mieć dostęp do cyjankali. Jednym słowem dupa błada. Faceta trują i nie można nawet stwierdzić, kto by miał na to ochotę. W innych sprawach kandydatów jest za dużo, trzeba wybierać, a tu nic. Więc postanowiliśmy wkręcić do tej redakcji swojego człowieka i wybór padł właśnie na ciebie. Musisz rozgryźć, jakie tam są układy, kto mógł doprawić kawę Hofmanowi i tak dalej. A przy okazji nauczysz się dziennikarstwa. Może ci się przydać.

Kowalski słuchał kompletnie oszołomiony. Idąc do milicji, nie wyobrażał sobie, że jego służba może się tak zaskakująco potoczyć.

- Tutaj - mówił dalej Bystron - masz listę wszystkich pracowników „Wiadomości” z krótkimi charakterystykami. Przeszłość, zainteresowania, jakie są na nich haczyki i tak dalej. Przestudiujesz to w domu. Przyda ci się, tylko uważaj, żebyś się nie zdradził bez potrzeby, że coś wiesz. Ze mną będziesz utrzymywał kontakt telefoniczny, w razie czego będziemy się spotykać w knajpach. Będę twoim kumplem, przyjacielem z lat dziecińczych czy coś takiego. Kapujesz?

Kowalski milcząco skinął głową. Teraz kapował.

- No to fajnie. Jutro zgłoś się z rana do naczelnego redaktora, a wieczorem zadzwoni i powiedz, jak się urządziłeś. Są pytania?

- A co będzie - miał tylko jedną wątpliwość Kowalski - gdy ktoś się zorientuje, kim jestem?

- To i tobie wsypią cyjanku. Dlatego uważaj. Przed wyjściem, jutro, przepatrz dobrze kieszenie, legitymację schowaj gdzieś głęboko, nie noś niczego, co mogłoby nasunąć podejrzenia. Pułkownik chciał ci dać broń, ale to bez sensu. Nie będziesz przecież urządził strzelaniny w biurze. I melduj natychmiast o każdym podejrzeniu. To będzie dla ciebie najlepsza asekuracja. Trzymaj się i pisz dobrze artykuły.

Kowalski wyszedł na ulicę, przeszedł przez bramę i z przyjemnością przysiadł na ławce w Królikarni. Koło jego stopy przysiadła wiewiórka, ale niestety nic dla niej nie miał. Cały czas zastanawiał się, dlaczego wybrano właśnie jego. Po krótkiej chwili intensywnego myślenia doszedł do przekonania, że nikt inny nie wywiązałby się należycie z roli dziennikarza. To było cudowne i to uczucie dodawało mu skrzydeł. Dziarskim krokiem ruszył w kierunku centrum. Po drodze wstąpił do pewexu, gdzie za ostatnie bony, długo zbierane na dzinsy Lee, kupił komplet długopisów i notes w czarnej skórce. Teraz był do swej misji naprawdę dobrze przygotowany.



Maciek i ja pracowaliśmy razem w tygodniku „Sportowiec”, potem w tygodniku „ITD.”, razem pisaliśmy kryminały, balowaliśmy i przez lata uchodziliśmy za papużki nierozłączki. Z potrzeby sławy i pieniędzy, wymyślił serial „Alternatywy 4”, którego sukces tak nas obezwładnił, że już nic wspólnie nie zrobiliśmy. Osobno, ale w tym samym czasie, przenieśliśmy się do Niemiec, również osobno wróciliśmy do Polski. Przedwczesna śmierć Maćka jeszcze bardziej nas rozdzieliła. Bardzo nad tym ubolewam.

Janusz Płoński